

Jan Gadomski

Kartka ze wspomnień adwokata z lat 1939-1944

Palestra 19/3(207), 3-16

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Kartka ze wspomnień adwokata z lat 1939-1944

Wojna z hitlerowskim sąsiadem już w lecie 1939 r. wisiała na włosku, jednakże jej wybuch, a tym bardziej jej gwałtowny przebieg był wielkim zaskoczeniem dla ludności Warszawy i dla całej Polski. W stolicy zapanował wtedy we wrześniu 1939 r. chaos w administracji państwowej, wywołany jej całkowitą, a tak niespodziewaną ewakuacją. Chaos ten został powiększony jeszcze przez słynne wezwanie radiowe skierowane do wszystkich poborowych i rezerwistów, by niezwłocznie opuścili Warszawę, któremu to wezwaniu dziesiątki tysięcy dało posłuch. Mimo takiej sytuacji, gdy wróg znalazł się przed Warszawą, w stolicy nie było paniki. Ludność rozumiała, że stolica nie może być oddana bez walki, i z całym spokojem wzięła spontaniczny udział w organizowaniu obrony, którą przygotowało wojsko w największym porządku.

Spółceństwo samorzutnie zaczęło organizować straż obywatelską, władze zaś samorządowe, które pozostały na miejscu pod przewodnictwem prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego, podjęły niezwłocznie wszystkie te czynności administracji państwowej, które były niezbędne dla wojska i jego zaopatrzenia. Powstająca straż obywatelska również podlegała prezydentowi miasta, choć więź ta była bardzo ograniczona, gdyż na większą łączność nie było wtedy warunków. W rezultacie troska o utrzymanie w miarę możliwości zaopatrzenia ludności i o zabezpieczenie ładu i porządku spadła na straż obywatelską.

W tej sytuacji ogólnej nie było miejsca dla działalności organów adwokatury; zresztą nie zachodziła wtedy taka potrzeba. Jednakże adwokaci nie pozostali bierni w tak groźnej dla Państwa i dla stolicy chwili. Wprawdzie znaczna ich część ewakuowała się i częściowo powróciła do stolicy dopiero po zakończeniu oblężenia, ale przeważająca liczba adwokatów pozostała w Warszawie i wzięła żywy udział w pracach straży obywatelskiej oraz samorządu. W organizowaniu straży obywatelskiej adwokaci mieli poczesny udział w pracach ściśle organizacyjnych, i to tak w komendzie głównej jak i w komendach dzielnicowych. Następnie ich rola w kierowaniu wszystkimi sprawami mającymi związek z prawem (a takich spraw było sporo) była znaczna. Trzeba bowiem wiedzieć, że przy nieistnieniu wymiaru sprawiedliwości, a jednocześnie przy powstawaniu konfliktów tak między obywatelami jak i między nimi a organami straży wszelkie te konflikty musiały być rozstrzygane niezwłocznie w ramach organów straży.

Pracowałem wtedy jako jeden z adwokatów w Komendzie Głównej Straży Obywatelskiej. Przy nieograniczonym zasięgu spraw, jakie napotykała straż w swej codziennej działalności, miałem dużo do czynienia z udzielaniem wskazówek adwokatom zatrudnionym w komendach dziel-

nicowych: na ich żądanie lub na żądanie innych organów tych komend bądź też samych zainteresowanych stron. Szczególnie godne uwagi jest to, że nie spotkałem się ani ja, ani inni koledzy zatrudnieni w Komendzie Głównej z jakimikolwiek narzekaniami na zachowanie się organów straży. Adwokatów zatrudnionych w Komendzie Głównej było około dziesięciu, przy czym nie wszyscy oni przychodzili do biur Komendy codziennie. W komendach dzielnicowych pracowało po kilku adwokatów. W sumie więc była to liczba pokaźna.

Praca ta nie była wcale bezpieczna. Miasto było stale bombardowane przez samoloty i obrzucane pociskami z dział ciężkiego kalibru, a do miejsc pracy trzeba było dochodzić pod takim ostrzałem. Jeśli chodzi o mnie, to codziennie odbywałem taką podróż z ul. Natolińskiej, koło placu Zbawiciela, aż na ul. Czackiego, gdzie w zwykłej kamienicy na I piętrze mieściły się biura Komendy Głównej. Nie udałem się tą drogą tylko w dzień ostatniego, najstraszliwszego bombardowania, tuż przed samą kapitulacją, gdy wiele ulic stało w ogniu. Jednakże zaraz następnego dnia po tym bombardowaniu odbyłem tę swoją trasę, idąc środkiem ulic Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia, wśród palących się jeszcze albo już tylko dogorywających kamienic. Zostałem wtedy funkcjonariuszy Komendy Głównej jeszcze w schronach kamienicy, choć bombardowanie już ustało. Budynek straży wyszedł cało, nawet nie został uszkodzony.

W tym dniu nie było urzędowania w biurach Komendy. Dopiero następnego dnia pracownicy zebrali się w komplecie, ale zajęć nie było. Wszyscy zastanawialiśmy się nad przyszłym losem kraju i miasta. Byli też wtedy wszyscy koledzy adwokaci.

Mimo najgorszych perspektyw nikt wówczas nie mógł sobie zdawać sprawy z tego, jak tragiczne losy przygotowuje narodowi polskiemu okupant hitlerowski. Jak dalece łudzili się pod tym względem niektórzy, niech ilustracją tego będzie fakt drobny, lecz jakże wymowny. Gdy więc rozeszła się już wieść o utworzeniu przez okupanta Generalnej Guberni i o mianowaniu generalnym gubernatorem dra Franka, zebrani w Komendzie adwokaci dyskutowali nad oczekującą nas wszystkich przyszłością. Jeden z obecnych kolegów, którego nazwisko tu pomijam, wyjął z kieszeni jakiś list i oświadczył, że nominację Franka uważa za pomyslną, gdyż zna go i nawet ma od niego z czasów przedwojennych ten właśnie list odręczny. Niestety, nie wiedział wówczas ten kolega, że znajduje się szybko wśród tych, którzy w pierwszej partii zostali w roku następnym zgładzeni w Palmirach. Wtedy jednak, zaraz po kapitulacji, nie było jeszcze oficjalnych wypowiedzi, a w zarządzie cywilnym miasta oraz w Komendzie Głównej Straży łudzono się, że okupant zechce uznać — choć w skromnym zakresie — czynnik samorządu w administracji Generalnej Guberni. Dlatego też w Komendzie Głównej żywiono nadzieję, że okupacja będzie podobna do okupacji z czasów pierwszej wojny światowej, wobec czego liczono się z ewentualnym dalszym funkcjonowaniem straży obywatelskiej.

Niestety, nadzieje te zostały szybko rozwiane, i to w sposób wręcz brutalny. Nastąpiło to, jeśli chodzi o straż obywatelską, zaraz w pierwszych dniach po kapitulacji, gdy w czasie narady odbywającej się w gabinecie komendanta głównego straży z udziałem ważniejszych jej członków, a na której i ja byłem obecny, niespodziewanie otworzyły się powójne drzwi

gabinetu, a w nich stało trzech gestapowców, którzy w sposób arogancki zarządzili, aby wszyscy z wyjątkiem komendanta opuścili zebranie. Nie miałem dokładnej relacji o rozmowie z gestapowcami. Dowiedzieliśmy się później, że żadnej straży obywatelskiej nie będzie. Na tym się skończył udział nas, adwokatów, w tej krótkotrwałej organizacji, a ja już więcej na ul. Czackiego nie byłem.

Istniała jednak administracja Zarządu Stolicy i prezydent Stefan Starzyński nadal pozostawał jeszcze na swoim stanowisku. Tak się złożyło, że byłem świadkiem zgłoszenia się do niego przedstawicieli gestapo. Wizyta ta wiązała się z końcową fazą jego urzędowania, a miała ona przebieg następujący.

Prezydent Starzyński był człowiekiem czynu. Gdy więc po kapitulacji nastąpił okres względnie spokojny, postanowił zająć się najpilniejszą sprawą dla ludności stolicy, tj. aprowizacją, która faktycznie prawie nie istniała. Pierwszym krokiem w kierunku uporządkowania aprowizacji miała być zwołana przez prezydenta narada notabli, mających reprezentować handel i przemysł związane z aprowizacją. Jedną z grup zaprosiła mnie do wzięcia udziału w tym zebraniu w charakterze doradcy prawnego. Uczestniczyło w tym zebraniu około 20—30 osób. Przewodniczył prezydent Starzyński. Nie zdążył on jednak zakończyć przemówienia inicjującego zebranie, bo nagle z rozmachem otworzyły się szerokie drzwi od gabinetu prezydenckiego, mającego rozmiary sporej sali, i stało w nich trzech gestapowców z minami wyzywającymi. Widocznie ta forma, identyczna z formą, jakiej byłem świadkiem poprzednio w gabinecie komendanta straży obywatelskiej, była dobrze przemyślana i celowo stosowana, by samym swym zjawieniem się budzić nie tylko respekt, ale i strach. Że jednak wcale tak nie było i że hitlerowcy bardzo się tu mylili, przekonali się o tym nieco później. Oczywiście zebranie zostało przerwane i wszyscy jego uczestnicy usunęli się z gabinetu i w ogóle z gmachu Zarządu Miejskiego. Prezydent Starzyński wkrótce potem został aresztowany, a następnie podobno wywieziony do Niemiec. Jego dalsze losy nie zostały nigdy należycie ustalone poza jednym faktem, że został zamordowany przez hitlerowców.

Nie tylko zresztą on jeden spośród członków aparatu administracyjnego zarządu stolicy złożył swe życie w ofierze dla sprawy polskiej. Okupant dobrze wiedział, że większość pracowników tego aparatu nigdy się nie uchylała od udzielenia takiej czy innej pomocy polskiemu ruchowi oporu, mimo że było to zawsze połączone z ryzykiem życia. Ilustracją tego może być więc los adwokatów Jezierskiego i Orłańskiego, którzy byli moimi następcami na stanowisku naczelnego radcy prawnego stolicy. Adw. Jezierski objął to stanowisko bezpośrednio po mnie na parę lat przed wojną, gdy ustąpiłem z tego stanowiska na własne żądanie z powodu konfliktu powstałego między mną a prezydentem Starzyńskim na tle jednej z wydanych przeze mnie opinii prawnych. Adwokat Jezierski został zamordowany wiosną 1940 r. w Palmirach. Jego następcą zaś, adw. Orłański, który był jeszcze za moich czasów pracownikiem wydziału prawnego stolicy i odznaczał się wielką sumiennością i pracowitością, nie zajmował długo stanowiska naczelnego radcy prawnego, gdyż został aresztowany, wywieziony do więzienia do Krakowa i tam po paru miesiącach zamordowany. Sądzę, że ten los aż dwóch kolegów zajmują-

cych to stanowisko wcale nie był przypadkowy, gdyż praca na tym stanowisku, przy metodach stosowanych przez okupanta, była związana z wielkim ryzykiem.

Następnym szokiem dla stolicy wkrótce po kapitulacji było aresztowanie w charakterze zakładników kilkudziesięciu poważnych obywateli. Nie było to dla nas zaskoczeniem, gdyż już wówczas można się było spodziewać, że hitlerowcy gotowi byli skorzystać z byle pretekstu, by zlikwidować zakładników. W liczbie zakładników został zatrzymany ówczesny dziekan stołecznej Rady Adwokackiej Leon Nowodworski, cieszący się powszechnym szacunkiem. Pod koniec 1939 roku wszyscy zakładnicy zostali jednak zwolnieni, a w ich liczbie także adw. Leon Nowodworski. Niestety, przeżycia jego odbiły się bardzo ciężko na jego zdrowiu, wskutek czego wkrótce po zwolnieniu zmarł on nagle na serce. Niewątpliwie był on jedną z pierwszych ofiar hitleryzmu spośród adwokatów warszawskich.

W tym czasie stołeczna adwokatura żywiła jeszcze nadzieję, że urząd samorządu adwokackiego zostanie utrzymany. Toteż rady adwokackie, tak Naczelna jak i Warszawska Rada, przygotowywały się do wznowienia urzędowania. Rozczarowanie nie kazało jednak na siebie długo czekać, gdyż wydane zostało zarządzenie generalnego gubernatora o rozwiązaniu organów adwokatury i o powołaniu komisarza do spraw adwokatury z pełnymi uprawnieniami. Na stanowisko to został powołany adwokat warszawski Wendorf.

Był on obywatelem polskim, Niemcem z pochodzenia, który tę swą przynależność narodowościową przed wojną podkreślał. Był on też w okresie międzywojennym oficjalnie radcą prawnym ambasady niemieckiej w Polsce. Oczywiście już przed wojną był jak najściślej powiązany z hitleryzmem. Jednakże, jak wykazała jego działalność w czasie wojny, był on poza tym człowiekiem przyzwoitym i osobiście nie ujawniał wrogości do adwokatów Polaków. Oczywiście, jako komisarz adwokatury, współdziałał z władzami hitlerowskimi we wszystkich ich poczynaniach wrogich w stosunku do adwokatury polskiej.

Komisarz Wendorf powołał na miejsce Rady Adwokackiej Warszawskiej kilku adwokatów byłych członków rozwiązanej Rady, powierzając im załatwianie spraw bieżących nie mających znaczenia z punktu widzenia władz hitlerowskich, a na miejsce dziekana wyznaczył adwokata bodajże z innej izby adwokackiej, znającego dobrze język niemiecki, któremu jednak z punktu widzenia polskiego nie można było stawiać żadnych zarzutów.

Poza tym została powołana rada opiniodawcza przy komisarzu, tak zwany *Beirat*, mający prawdopodobnie stanowić namiastkę Naczelnej Rady Adwokackiej. Do Rady tej komisarz Wendorf powołał członków Prezydium rozwiązanej Naczelnej Rady Adwokackiej i niektórych członków Warszawskiej Rady oraz kilku adwokatów należących poprzednio do Izby poznańskiej. Organ ten raz tylko został wezwany na posiedzenie w sprawie adwokatów Żydów, o której to sprawie będzie jeszcze mowa dalej.

W związku z tym, że okupant, utrzymując polskie sądy, wyłączył z ich kompetencji szereg spraw, które powierzył utworzonym przez siebie specjalnym sądom niemieckim, komisarz Wendorf wyznaczył spośród adwokatów Polaków władających dobrze językiem niemieckim pewną grupę, której nadał uprawnienia obrończe przed tymi sądami. Ponieważ do War-

szawy, jak w ogóle do Generalnej Guberni napływały wielkie rzesze Polaków uciekających z terenów, które okupant ogłosił jako włączone do Rzeszy Niemieckiej, przesiedliło się w ten sposób na teren Generalnej Guberni wielu adwokatów z innych izb, w których znajomość języka niemieckiego była bardziej rozpowszechniona. To wyjaśnia, dlaczego w grupie obrońców Polaków przed niemieckimi sądami specjalnymi znaleźli się przeważnie adwokaci nie miejscowi, lecz przyjezdni. Aczkolwiek grupa tych adwokatów stawała się w ten sposób nieco uprzywilejowana, to jednak była ona potrzebna, gdyż zapewniała polskiej ludności przynajmniej ograniczoną możliwość obrony. Nie dochodziły też do mnie żadne zarzuty w związku z pełnieniem obowiązków obrończych przez tę grupę adwokatów.

Utworzenie przez okupanta Generalnej Guberni jako rodzaju rezerwatu dla ludności nieniemieckiej wywołało przeświadczenie, że ludność żydowska będzie w tym tworze korzystać z tych samych bardzo ograniczonych praw co ludność polska. Jak wiadomo, te złudne nadzieje rozwiały się wkrótce.

Jednym z pierwszych zarządzeń hitlerowskich ujawniających antyżydowskie cele było zarządzenie skreślające z list adwokackich wszystkich adwokatów pochodzenia żydowskiego, oczywiście w bardzo szerokim ujęciu tego pochodzenia, a to zgodnie z hitlerowskimi ustawami norymberskimi. Zarządzenie to ukazało się w styczniu 1940 r. jako natychmiast wykonalne. W ten sposób znalazło się poza adwokaturą również wielu adwokatów, którzy z dziada pradziada byli uważani za członków narodu polskiego. Adwokatura polska nie uznawała tego zarządzenia nie tylko przez swoje polskie organy istniejące nielegalnie, ale i przez ogół adwokatów, którzy chętnie pomagali skreślonym adwokatom, o ile było to możliwe przy załatwianiu spraw ich klientów.

Okupant nie zadowolił się wydaniem tego zarządzenia, lecz prawdopodobnie ze względu na opinię światową pragnął wymusić na społeczności polskiej moralne zaakceptowanie tego oburzającego zarządzenia. W tym celu postanowił on wykorzystać wyżej wspomniany *Beirat*, mogący ze względu na swój skład uchodzić za organ polski. W tym celu komisarz Wendorf po raz pierwszy i ostatni zwołał *Beirat* w pełnym składzie na posiedzenie, przy czym przy zwołaniu większość jego członków nie była poinformowana, jakie sprawy mają być rozważane. Komisarz Wendorf nie przybył na posiedzenie, lecz zlecił przewodnictwo jednemu z członków, któremu udzielił odpowiednich poleceń i instrukcji. Zebrani dowiedzieli się od tego kolegi, że mają wypowiedzieć się, każdy przy tym indywidualnie na piśmie, co do tego, czy zarządzenie co do skreślenia adwokatów pochodzenia żydowskiego uważa opiniujący za słuszne i uzasadnione oraz za zgodne z interesem adwokatury polskiej. Nieoficjalnie członkowie *Beiratu* zostali zawiadomieni, że udzielenie opinii negatywnej będzie uznane za negatywne ustosunkowanie się do okupanta i że pociągnie to bardzo poważne skutki dla udzielającego takiej opinii. Było to wiosną 1940 roku, kiedy okupant już zdążył ujawnić, że można się było spodziewać z jego strony wszystkiego najgorszego, wobec czego nikt z członków *Beiratu* nie lekcewał sobie znaczenia takich gróźb. Mimo to spośród 17 obecnych przeważająca większość, bo 14, wypowiedziało się negatywnie. Do tej większości należeli wszyscy adwokaci warszawscy.

Ponieważ w chwili rozpoczęcia się okupacji byłem członkiem Prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej, gdyż byłem jej skarbnikiem, więc zostałem powołany do *Beiratu* i brałem udział w powyższym jego posiedzeniu. W posiedzeniu brał też udział adw. Leopold Żaryn. Wspominam go dlatego, że my obaj w uzasadnieniu swych opinii powołaliśmy się również na przepisy Konwencji haskiej, co miało o tyle znaczenie, że hitlerowskie Niemcy ogłosiły, iż Polska przestała istnieć jako państwo, wobec czego nie można było mówić o żadnej okupacji, gdyż istnieje już tylko państwo niemieckie.

Po tym posiedzeniu nie było przez dłuższy czas żadnej reakcji ze strony władz hitlerowskich, ale miało wtedy miejsce inne uderzenie w warszawską adwokatwę, a mianowicie najazd na stołówkę adwokacką, połączony z masowym aresztowaniem znajdujących się w niej adwokatów. Stołówka ta została zorganizowana przez adwokatwę jako placówka społeczna w celu przyjscia z pomocą kolegom. Stan materialny ogółu adwokatury był krytyczny, gdyż w pierwszych miesiącach okupacji ustąpiła możliwość zarobkowania, zaopatrzenie zaś ludności było bardzo niedostateczne, a czarny rynek był bardzo kosztowny. Stołówka została zorganizowana w lokalu Rady w Alejach Jerozolimskich. Stała się ona nie tylko bazą zaopatrzenia potrzebujących kolegów w niezbędne środki do życia, lecz również, a nawet w większym stopniu bazą dla wszelkiej organizującej się patriotycznej działalności; ponadto baza ta stała się punktem, w którym rozpowszechniano gazetki z wiadomościami uzyskiwanymi przez radio z zagranicy. Trzeba przyznać, że zjawiający się tam adwokaci nie zachowywali dostatecznej ostrożności, tak że całej tej działalności nie można było określać jako działalności konspiracyjnej, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że w adwokatwrze znalazły się także, niestety, jednostki nikczemne, które dla zysku i innych korzyści nawiązały kontakty z okupantem, a przede wszystkim z gestapo. W tych warunkach dokonanie przez gestapo „nalotu” w godzinach największego nasilenia działalności stołówki nie powinno było stanowić wielkiej niespodzianki. W czasie tego „nalotu” gestapo zdobyło sporo materiału kompromitującego, wystarczającego w oczach gestapo do aresztowania wszystkich, których zastano w stołówce. Spośród zatrzymanych wówczas kolegów większość nigdy już nie odzyskała wolności.

To najście gestapo było przypisywane zdradzie popełnionej przez adw. Jerzego Janowskiego, który często bywał w stołówce, a nie było jeszcze wtedy dostatecznie wiadomo, że zaraz po wejściu okupantów zgłosił się on do nich, podając się przy tym za Białorusina. Czy rzeczywiście był on tym, który spowodował całą tę akcję gestapo, o tyle nie ma to znaczenia dla oceny osoby adw. Jerzego Janowskiego, że dopuścił się on potem innych jeszcze przestępstw, nawet pospolitych, tak że naraził się z kolei temuż gestapo i został potem zlikwidowany. Wspomnę o tym jeszcze z okazji innych wydarzeń.

Jedną z ofiar powyższej akcji, która mnie szczególnie obeszła, był adw. Czesław Jankowski. Czesław Jankowski był człowiekiem w sile wieku, całkowicie oddanym działalności w ruchu harcerskim, który zamierzał tę swą działalność wykorzystać dla ruchu podziemnego. Gestapo nie tolerowało takich jednostek i gdy dostało je w swoje ręce, likwidowało bezzwłocznie. Tak właśnie postąpiło też w stosunku do Czesława Jankowskiego.

Następnym uderzeniem w polską advokaturę, jakie zgotował okupant, było zarządzenie co do przeprowadzenia weryfikacji wszystkich adwokatów. Weryfikacja odbyła się w ten sposób, że wszyscy adwokaci byli wzywani przed komisję złożoną z paru osób, która ich przesłuchiwała dosyć krótko. Dotyczyło to również członków *Beiratu*, a więc i mnie to spotkało. Aczkolwiek, jak się później okazało, właśnie w stosunku do członków *Beiratu*, którzy złożyli negatywne opinie, skreślenie z listy adwokatów zostało już postanowione, to jednak zachowano także w stosunku do nich wszelkie formalności. Skreślenie na skutek weryfikacji następowało z dniem 1 maja 1940 r. W ten sposób duża grupa adwokatów została pozbawiona możliwości wykonywania legalnie zawodu adwokackiego. Poza nami, tj. 14 członkami *Beiratu*, skreślono przy okazji weryfikacji jeszcze pewną liczbę adwokatów z różnych przyczyn. Postanowienia o skreśleniu z listy doręczano oczywiście bez żadnego uzasadnienia.

Niektórzy ze skreślonych prowadzili nadal sprawy swych klientów, ale tylko do spółki z innym kolegą mającym prawo występowania przed sądami. Ja właśnie należałem do tej grupy. Ponieważ jednak każdemu, kto nie miał zaświadczenia o wykonywaniu bądź pracy, bądź jakiegoś innego zajęcia uznawanego przez okupanta, groziło zatrzymanie i wywiezienie do pracy przymusowej, szczególnie przy zatrzymaniu na ulicy podczas często urządzanych tzw. łapanek, więc aby zapobiec takiej ewentualności, musiałem otrzymać fikcyjne zaświadczenie zatrudnienia od jednej z polskich firm będącej moim klientem.

Komisarz Wendorf, żądając od nas jako członków *Beiratu* zaakceptowania zarządzeń okupanta w sprawie adwokatów Żydów, musiał sobie zdawać sprawę z tego, że uczynić tego nie możemy. Tym się może tłumaczy, że po upływie niespełna roku zwrócił się do nas nieoficjalnie z propozycją złożenia przez nas oświadczenia, iż popełniliśmy omyłkę; wówczas zostałyby nam przywrócone prawa adwokackie. Trzeba pamiętać, że z tą propozycją zwrócił się Wendorf w czasie, gdy hitlerowskie Niemcy stały u szczytu swych powodzeń wojennych. Propozycja ta została połączona jednak z pogroźką, że w razie niezastosowania się do niej, już na zawsze musimy się pożegnać z możliwością powrotu do advokatury. Mimo to i mimo że sytuacja niektórych z nas była niezwykle trudna, nie znalazł się nikt, kto by potraktował poważnie powyższą propozycję. Krążyły wówczas informacje, że tylko dzięki staraniom i wpływom osobistym Wendorfa nie spotkały nas gorsze konsekwencje niż tylko skreślenie z listy adwokatów.

W tym czasie gestapo coraz bardziej zwiększało swój nacisk terrorystyczny na ogół społeczeństwa polskiego, szczególnie w stosunku do jego odłamu pochodzenia żydowskiego. Oczywiście adwokaci polscy też nie byli wyłączeni od tego nacisku. Również wiosną 1940 roku, a nawet wcześniej gestapo przeprowadziło specjalną akcję w stosunku do Polaków pochodzenia niemieckiego, wymagając od nich zadeklarowania swej niemieckości i zapisania się na tzw. volkslisty. Odmawiających ich żądaniom uznawano za zdrajców narodu niemieckiego i wyciągano w stosunku do nich najostrejsze konsekwencje — aż do likwidowania ich bądź wprost w Palmirach, bądź przez zesłanie do obozów zagłady.

Ponieważ moje wspomnienia ograniczam właściwie do losów advokatury, więc nie będę tutaj szerzej zajmować się opisem poszczególnych

ofiar tych patriotów. Wspomnę tylko o dwóch adwokatach i o rodzinie jednego z nich, wielce zasłużonego dla sprawy polskiej.

Na początku 1940 r. gestapo uwięziło między innymi adwokata Alfreda Burszego, mego przyjaciela, i wszystkich jego braci, gdyż stanowili oni rodzinę biskupa ewangelickiego Burszego, który był w kościele ewangelickim rzecznikiem polskości, a wszyscy jego bracia uważali się za Polaków. Było ich czterech i tylko jeden z nich pozostał przy życiu, choć do końca wojny przebywał w obozie w Niemczech. Adwokat Alfred Bursze od chwili aresztowania do chwili wywiezienia do obozu mógł mi dać znak życia o sobie przez skierowanie do mnie — w drodze urzędowej przez gestapo — kartki z prośbą o zajęcie się likwidacją jego papierów osobistych znajdujących się w jego kancelarii. Miał ją poza mieszkaniem prywatnym. Zazaczył, żebym uczynił to bez ich przeglądania. Oczywiście uczyniłem zadość jego żądaniu i papiery te spaliłem osobiście w piecu. Od osób, które znajdowały się na Pawiaku, gdy bracia Burszowie w jednej z pierwszych partii zostali wywiezieni do obozów, dowiedziałem się, że jakiś wyższy dostojnik gestapo osobiście dokonywał przeglądu tej partii ustawionej w szeregu i zwrócił szczególną uwagę na Burszów, głośno nazywając ich zdrajcami.

Drugą ofiarą był adw. Herman Eberhard, zastrzelony w czasie powstania warszawskiego.

Gestapo nie zadowalało się indywidualnymi sprawami, lecz szykowało się do akcji polegającej na utworzeniu obozów zagłady i przygotowania materiału ludzkiego do zapelnienia tych obozów. Wykonanie tych planów rozpoczęło się w czerwcu 1940 roku, kiedy gestapo przeprowadziło w godzinach rannych masowe aresztowania wszystkich tych, na których miało donosy, choćby jeszcze nie sprawdzone, oraz tych, którzy z tych czy innych powodów byli notowani w gestapo. Na skutek tej akcji więzienie na Pawiaku zostało tak przepelnione, że na cele więzienne wzięto pomieszczenia, które miały inne przeznaczenie. W liczbie tych uwięzionych znalazłem się także ja oraz adwokat Ziemowit Grzegorzewski. Jak się później okazało, zostaliśmy zatrzymani w jednej sprawie. Umieszczono nas w pomieszczeniu, które było poprzednio szkołą — oczywiście do czasu wojny. Było tam tak wielu więźniów, że spaliśmy pokotem, zajmując całą podłogę na rozkładanych siennikach. Znalazł się tam z nami adw. Jan Jakub Litauer, były sędzia Sądu Najwyższego, który też miał przeciwko sobie jakieś donosy. Oczywiście trzymaliśmy się razem. Tylko część więźniów należała do kategorii politycznych. Duża część, jeśli nie większość, miała inne zarzuty.

W tydzień czy parę tygodni po znalezieniu się w więzieniu ujrzeliśmy przez okno odbywającą spacer więzienną większą grupę kolegów adwokatów. Dowiedzieliśmy się zaraz, że wszyscy oni, a było ich około 70, zostali uwięzieni bez żadnego związku z jakimikolwiek konkretnymi zarzutami, tylko w wyniku akcji zastraszającej skierowanej wyraźnie przeciwko adwokataturze. Jak dalece społeczeństwo polskie było wówczas jeszcze nie zorientowane co do celów takiej akcji i metod grożących adwokatom, niech świadczy fakt, iż ja i dwaj moi współtowarzysze więzienni sądziliśmy, że nasza sytuacja jest groźniejsza i że owa grupa 70 uwięzionych adwokatów w wyniku tej „adwokackiej” akcji gestapo zostanie po pewnym czasie zwolniona. Niestety, przypuszczenia te okazały się mylne. My trzej po rozpatrzeniu naszych spraw zostaliśmy zwolnieni, nato-

miast spośród całej grupy tych 70 adwokatów zwolniono nie więcej niż dziesięciu, i to tylko dzięki takim czy innym protektorom, z którymi liczył się okupant. Tak np. jeden z moich przyjaciół został zwolniony tylko dlatego, że był radcą prawnym jednej z poważniejszych ambasad kraju neutralnego. Później jeszcze około 5 adwokatów omawianej grupy zostało wyreklamowanych z Oświęcimia, dokąd trafiła cała ta grupa już w jednym z pierwszych transportów tam skierowanych. Z pozostałych zginęli wszyscy w tym obozie lub w innych obozach, dokąd zostali wywiezieni.

Jak się okazało z naszych przesłuchań w gestapo w alei Szucha, ja i adwokat Grzegorzewski zostaliśmy zatrzymani pod zarzutem, że razem z pracownikami biura fundacji Potockiego utrzymywaliśmy kontakty z jakimiś nielegalnymi organizacjami, co oczywiście było zwykłym wymysłem. Do tego czasu utrzymywałem kontakty z adwokatem Grzegorzewskim wyłącznie w sprawach tej fundacji, i to jedynie w paru poważnych sprawach sądowych, które prowadził adwokat Grzegorzewski jako radca prawny fundacji; ja zostałem zaangażowany przez fundację wyłącznie do tych spraw ze względu na ich poważny przedmiot sporu. Sprawy te dotyczyły wykonawcy testamentu Potockiego niejakiego Cz. Z tych okoliczności mogliśmy wywnioskować, że donositелеm przeciwko nam musiał być ten ów Cz., bo nikt inny nie mógł mieć w tym interesu. Zważywszy zaś, że tak mnie jak i adw. Grzegorzewskiego pytano, czy znamy adw. Georga von Janowskiego i co o nim wiemy, doszliśmy do wniosku, że w tych doniesieniach współpracował z owym Cz. Georg von Janowski. Szczęśliwą okolicznością dla nas z Grzegorzewskim było to, że jak dowiedzieliśmy się od współwięźniów w czasie pobytu na Pawiaku, adw. Georg von Janowski został aresztowany przez gestapo za przestępstwa pospolite, m.in. za namawianie klientów do deponowania u niego kosztowności i pieniędzy po to, by robić potem na nich doniesienia do gestapo, a po ich likwidacji — przywłaszczając sobie depozyty. Dlatego też gdy mnie przy przesłuchaniu pytano, czy znam adw. Georga von Janowskiego, mogłem odpowiedzieć, że znam go tylko z sądu, słyszałem jednak, że jest to marna kreatura, o czym podobno mogły się przekonać władze okupacyjne. O dalszych losach Georga von Janowskiego jak i o losach Cz. nic już więcej nie słyszałem. Można jednak wnioskować, że gestapo zlikwidowało von Janowskiego, gdyż nie tolerowało tego, aby ktoś inny rabował na rachunek tegoż gestapo.

Jednakże sprawa moja i kolegi Grzegorzewskiego nie skończyła się na zwolnieniu z więzienia, gdyż w niedługim czasie mieliśmy obaj wizytę gestapo i chciano nas ponownie aresztować. Poprzestano jednak na poleceniu stawienia się w gestapo celem przesłuchania. Taka niespodziewana zmiana ich zamiaru nastąpiła na skutek stwierdzenia, że przecież dopiero co zostaliśmy zwolnieni z więzienia, jak to bezspornie stwierdzały posiadane przez nas zaświadczenia otrzymane przy opuszczaniu przez nas więzienia. Tak przydała się nam bardzo rada udzielona nam przez współwięźniów, aby jak oka w głowie strzec tego rodzaju zaświadczeń. Z naszych przesłuchań okazało się, że chodziło znowu o tę samą sprawę co poprzednio. Przyznać jednak muszę, że na przesłuchanie do gestapo udawaliśmy się z Grzegorzewskim z ciężkim sercem, gdyż normalnie przy takim ponownym przesłuchaniu w ogóle na wolność się nie wychodziło. Ja miałem jeszcze trzecie odwiedziny gestapo, ale to było do-

piero w jakieś dwa lata później. Pewnej nocy gestapowcy wpadli do mego mieszkania od razu obu wejściami z pistoletami w rękę i przeszukiwali mieszkanie. W nocnej koszuli stałem wtedy w swym gabinecie, mając przed sobą pilnującego mnie gestapowca z wycelowanym pistoletem. Jak się okazało, szukali oni kogoś innego. W takich wypadkach, gdy gestapowcy nie zastawali tego, o kogo im chodziło, zabierali przynajmniej posiadacza mieszkania. Dlaczego tej samej metody nie zastosowali do mnie i opuścili mieszkanie nikogo nie zabierając, nigdy się nie dowiedziałem, jak też nie dowiedziałem się, o kogo im wtedy chodziło.

W Warszawie gestapo przeprowadzało często uliczne naloty, tak zwane „łapanki”. Polegało to na tym, że obstawiano niektóre ulice i sprawdzano wszystkich tam się znajdujących. Akcje te były niebezpieczne szczególnie dla młodzieży oraz dla osób w średnim wieku. W takiej właśnie atmosferze żyła Warszawa w czasie okupacji, ale tak jak ogół ludności psychicznie się nie załamywał i w tej czy innej formie uczestniczył w walce bądź taką walkę prowadzoną przez innych wspierał, tak samo również adwokatura warszawska uczestniczyła w tej walce. Nie mówiąc o tych licznych jej członkach, którzy należeli do różnych organizacji prowadzących tę walkę, adwokatura jako taka zachowała w podziemiu swą organizację, choć z pewnymi ograniczonymi agendami. W szczególności Rada Adwokacka w Warszawie dała możliwość kształcenia się na rybkowi adwokackiemu. W zasadzie szkolenie aplikantów adwokackich odbywało się dość intensywnie. Opiekowano się nimi oraz nadzorowano ich pracę i ich patronów. Przeprowadzano także egzaminy aplikantów, zaprzysięgano ich jako nowych adwokatów i wydawano odpowiednie zaświadczenia. Oczywiście wszystko to odbywało się w tajemnicy przed okupantem. Ale mieliśmy w sobie tę niezłomną wiarę, że hitleryzm musi w końcu ponieść klęskę, a wtedy wszystkie te nasze czynności i nasza działalność nabiorą należytej mocy prawnej.

Podobnie jak okupant nie uznawał istnienia Polski, tak samo naród polski nie chciał uznawać władzy okupanta. Władzę tę uznawał za nielegalną. Istniało więc przedstawicielstwo rządu polskiego na emigracji i społeczeństwo polskie uznawało jego uprawnienia, podobnie jak uznawało Armię Krajową. Jak dalece nieustraszonymi byli w tych sprawach i adwokaci, i w miarę swych możliwości sędziowie oraz jak wielkie były solidarność i wzajemne zaufanie w społeczeństwie polskim, niechaj dowodem tego będzie fakt, którego daty — niestety — pamięć moja nie zachowała, chociaż sam w tym uczestniczyłem jako członek komisji przeprowadzającej egzaminy aplikantów adwokackich kształconych podziemnie. Chodziło mianowicie o zaprzysiężenie aplikantów, którzy złożyli pomyślnie egzaminy adwokackie i uzyskali wpis na listę adwokatów, dokonany przez podziemną Radę Adwokacką.

Nic nie stało na przeszkodzie, by dziekan Rady dokonał zaprzysiężenia w lokalu zakonspirowanym — oczywiście z udziałem jak najmniejszej liczby uczestników. Jednakże na skutek sugestii adw. Feliksa Zadrowskiego, ówczesnego delegata rządu do spraw wymiaru sprawiedliwości, dziekan zadecydował, żeby odebranie przysięgi zostało potraktowane jako akt uroczysty i żeby odbyło się w gmachu Sądu Apelacyjnego, w gabinecie prezesa tego Sądu. Uroczystość więc odbyła się w obecności nie tylko wszystkich zainteresowanych aplikantów, ale także dziekana i w obecności adw. Zadrowskiego oraz członków komisji egzaminacyjnej.

Stanowiło to wielkie ryzyko nie tylko dla osób biorących udział w tej uroczystości, ale również i dla innych osób, gdyż w razie ujawnienia jej przez gestapo wszyscy mogli doznać surowych represji, a co najmniej dostać się do obozu koncentracyjnego. Jeśli poważni ludzie zdecydowali się jednak na to, to oczywiście nie ze zwykłej brawury, lecz wyłącznie po to, by w ten sposób zostało uwidocznione, że nie tylko naród polski istnieje, ale że istnieją też jego władze i że okupant nie jest wszechmocny. Omawiane zebranie nie mogło nie być zauważone przez niższy personel sądowy, jak np. woźnych i urzędników. Nikt jednak nie zarządził wtedy żadnych środków ostrożności, bo wszyscy nawzajem byli darzeni zaufaniem i z góry się wykluczało jakiegokolwiek przecieki z tego środowiska do gestapo.

Nie mogę pominąć jeszcze innych funkcjonariuszy, którzy przynajmniej w większości nie zawiedli zaufania społeczeństwa polskiego, mimo że musieli za to ponieść ciężkie ofiary, nie wyłączając życia. Mam tu na myśli funkcjonariuszy polskiego więziennictwa z Pawiaka. Okupant przejął więzienie razem z więźniami i polską służbą więziennictwa. Nie są mi znane warunki tego przejścia, ale mam dane, by wnosić, że pozostawienie ich na służbie okupanta nie było dobrowolne. Blżej zetknąłem się z polskimi funkcjonariuszami więziennymi w czerwcu 1940 roku, gdy byłem sam więźniem przez okres 6 tygodni. Dlatego też mogę stwierdzić, że ogół polskich więźniów, przynajmniej tych politycznych, odczuwał jako dobrodziejstwo okoliczność, że w tym czasie większość służby więziennej stanowili jeszcze Polacy. Chodzi nie tylko o to, że byliśmy wtedy po ludzku traktowani, lecz o to, że przez służbę polską mieliśmy możliwość utrzymania łączności ze światem pozawięziennym. Dotyczy to także mnie osobiście. Szczególnie dużej pomocy udzielała starszy funkcjonariusz więziennictwa z wyższym wykształceniem, znana mi w okresie międzywojennym żona mego kolegi lekarza, Irena Wirszyłło. Wielu więźniów dużo jej zawdzięczało. Ja dzięki niej dostałem się do szpitala więziennego, co może uratowało mnie od wywiezienia do Oświęcimia. W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że Irena Wirszyłło została zgładzona przez gestapo, co właściwie przy jej ofiarnej i ryzykanckiej działalności na rzecz sprawy polskiej groziło jej niemal stale. W tym też czasie usunięta została z Pawiaka polska służba więzienna i zastąpiono ją bądź Niemcami, bądź ludźmi innych narodowości, wasali Niemiec hitlerowskich. Więźniowie odczuli to ciężko na sobie.

Żyliśmy wtedy w ciężkiej atmosferze. Nie było łatwo przeżywać w owych czasach katastrofę z 1939 r. i katastrofę Francji w 1940 r., zwłaszcza gdy się było w więzieniu lub w obozie zagłady, jakimi były w istocie wszystkie obozy hitlerowskie. Nic dziwnego, że były w społeczeństwie, a także i w adwokaturze jednostki, które się załamywały. Wrył mi się w pamięć taki oto wypadek dotyczący załamania się duchowego jednego z najpoważniejszych adwokatów cywilistów z pokolenia starszego ode mnie. Dowiedziałem się o tym od kolegów przyjaciół i zdecydowałem się na odwiedzenie go w jego mieszkaniu, w którym mieszkał ze swą siostrą, jako już stary kawaler, choć nie miał przeszłości purytańskiej. Był to człowiek realista, świetny prawnik i obrońca, budzący respekt u kolegów adwokatów, a nawet i u sędziów, krótko mówiąc — człowiek z mocnym charakterem. W okresie wojennym tak się złożyło, że nawiązałem z nim dość serdeczne stosunki. Gdy więc doszła mnie wiadomość, że ogarnęła go

psychoza klęski narodowej, zdecydowałem się na spotkanie z nim, by natchnąć go jakimś większym optymizmem. Odwiedziłem go w godzinach popołudniowych, między trzecią a piątą. Choć był to jeszcze dzień widny, zostałem przyjęty przez niego w sypialni, w łóżku przy zasłoniętych oknach i przy świetle lampy. Nie był chory, ale większość wolnego czasu spędzał w taki właśnie sposób. Odbyłem z nim dłuższą rozmowę, z której wywnioskowałem, że nie można go odwieść od przekonania, iż dla Polski wszystko jest już stracone i że nie ma celu, by żyć dalej. Ta jego psychoza spowodowała nawet niechęć do pracy zawodowej, tak że ten wybitny adwokat, mający dużą kancelarię, potracił klientelę i żył w trudnych warunkach materialnych. W takich też warunkach zakończył swój żywot — nie wiem tylko, czy nastąpiło to pod koniec wojny, czy też zaraz po jej zakończeniu. Nie podaję jego nazwiska, bo przykro by było relacjonować tu taki smutny koniec jednego z luminarzy międzywojennej advokatury. Ale niech choć w sposób bezimienny zachowana zostanie pamięć o advokacie, będącym chlubą ówczesnej advokatury polskiej, bo w każdym razie bezsprzecznie był on „Kimś” w advokaturze.

Takich wypadków było jednak w polskiej advokaturze i w całym społeczeństwie bardzo niewiele. Jeśli chodzi o advokaturę stołeczną, to jej przedstawiciele znajdowali się — można śmiało tak powiedzieć — we wszystkich podziemnych polskich organizacjach. Często otrzymywaliśmy zlecenia wykonania takich czy innych spraw, nie wiedząc dokładnie, jaka organizacja udziela zlecenia. Wystarczyło tylko wiedzieć, o jakie zlecenie chodzi i kto jest łącznikiem. Prace takie były podejmowane niekiedy wspólnie z sędziami, jeśli przedmiot zlecenia tego wymagał. Bardzo poważne zadanie dla tej grupy, tj. dla adwokatów i niektórych sędziów, otrzymywał do wykonania adw. Jan Jakub Litauer. Było to w czasie, gdy wojna wkroczyła w drugie stadium, tzn. gdy można się już było liczyć poważnie z jej pomyślnym zakończeniem. Wtedy należało brać pod rozwagę zadania, jakie muszą stanąć przed Polską w czasie jej rychłego przejścia ze stanu okupacji do odbudowy państwa, zniszczonego tak gruntownie przez hitlerowskiego najeźdźcę. Hitlerowcom nie wystarczyły przecież te uprawnienia, jakie normalnie przysługują okupantowi, ani nawet te uprawnienia, jakie sami sobie nadali w swych rozporządzeniach okupacyjnych. Celem ich było także pozbawienie narodu polskiego całej jego inteligencji. Plan takiego zniszczenia nie mógł być realizowany przy pomocy okupacyjnych norm prawnych. Dlatego rząd hitlerowski wydał poufne, nigdzie nie ujawnione zarządzenie, że tam gdzie chodzi o dobro Niemiec, nie obowiązują żadne przepisy władz okupacyjnych.

O istnieniu takiego stanu rzeczy oraz o zamiarach eksterminacyjnych w stosunku do ludności polskiej dowiedziałem się w czasie wojny z dość kompetentnego źródła, aby nie mieć wątpliwości co do prawdziwości tej wieści. A było to tak. Jako adwokat byłem doradcą dwóch Rosjanek, córek dawno zmarłego rosyjskiego profesora. Te dwie panie były właścicielkami nieruchomości (położonej w Warszawie), która była zajęta przez jakąś instytucję; klientkom moim chodziło o odzyskanie tej nieruchomości w sposób ugodowy. Panie te miały znajomego Rosjanina zajmującego poważne stanowisko w hitlerowskim zarządzie gubernatorskim w Warszawie. Na ich prośbę udałem się z nimi do biura owego Rosjanina mieszczącego się na Nowym Świecie. Rozmawialiśmy w języku rosyjskim. Po wyłuszczeniu mu prawnej strony sprawy oświadczył, że administracja

niemiecka została zwolniona od przestrzegania jakichkolwiek przepisów prawnych, jeśli wymaga tego interes Trzeciej Rzeszy. Następnie poinformował mnie oficjalnie, że teraz okupant jest zajęty likwidowaniem Żydów, ale czyni już przygotowania do następnej akcji, którą ma być zlikwidowanie polskiej inteligencji, bo naród polski ma przestać istnieć, pozostanie zaś tylko ciemna masa robocza do prac fizycznych. Odniosłem wrażenie, że Rosjanin ten sam nie był pewny również własnego losu. Ale przebieg wojny uzasadniał już przekonanie, że taka zagłada nie zagraża — na szczęście — narodowi polskiemu i że zbliża się dzień rychłego wyzwolenia.

Dlatego też, gdy zjawił się u mnie adw. Litauer z propozycją udziału w pracach nad projektami ustaw bądź rozporządzeń na okres przejściowy po ustaniu okupacji, chętnie zgodziłem się na taką współpracę. Zostałem poinformowany, że przygotowywane projekty są opracowywane przez co najmniej dwóch referentów i że będą one dostarczane adw. Litauerowi. Na tym miała się kończyć rola referentów, a więc i moja. Cała ta akcja miała być prowadzona w jak największej konspiracji ze względu na konsekwencje dla osób zaangażowanych w tej robocie w razie wykrycia tego przez gestapo. To było przyczyną, że jedyną osobą, z jaką miałem do czynienia przy tych pracach, był tylko adw. Litauer. Był on tak dalece ostrożny, że sam osobiście pełnił funkcję łącznika i dostarczał mi tematy oraz odbierał ode mnie opracowane projekty. Oczywiście nie starałem się ustalać nazwisk innych uczestników tej akcji, która trwała aż do wybuchu powstania warszawskiego. W tym czasie zdążyłem opracować kilkanaście projektów na najróżniejsze tematy, których obecnie już nie pamiętam z wyjątkiem jednego. Dotyczył on mianowicie trybu zabezpieczenia mienia opuszczonego lub w inny sposób odebranego prawnym posiadaczom. Przeciwstawiałem się w tym projekcie koncepcji instytucji sądowych kuratorów, proponując utworzenie państwowego organu, podobnego do urzędu likwidacyjnego, jaki został u nas po wojnie rzeczywiście powołany.

W czasie powstania warszawskiego większość (jeśli nawet nie wszystkie) z tych elaboratów spaliła się wraz z budynkiem, w którym były przechowywane. Nie była to wielka strata ze względu na rewolucyjne zmiany, jakie zaszły po wojnie w strukturze społeczno-prawnej naszego kraju.

Niezależnie od tego przed samym powstaniem brałem jeszcze skromny udział w pracach podziemnych organów adwokatury, wszczętych w związku z przewidywanym wyzwoleniem. Chodziło o odbudowę tych organów w składzie poszerzonym i zmienionym, odpowiednio do nowych warunków polityczno-społecznych. Wszystkie te prace zostały unicestwione przez wybuch powstania i jego tragiczne zakończenie.

Na tym kończą się moje wspomnienia związane z adwokatą warszawską wojennego okresu. Ewakuowany po upadku powstania, nie wróciłem już do grona warszawskich kolegów i stałem się adwokatem może nie tyle prowincjonalnym, ile — z siedzibą na prowincji.

Dla uniknięcia nieporozumień muszę zauważyć, że ta karta moich wspomnień nie może być uważana za przyczynek do historii polskiej adwokatury z okresu ostatniej wojny. Wspomnienia bowiem obejmują wyłącznie te wydarzenia, które sam przeżyłem lub o których słyszałem od kolegów. Nie dysponuję przy tym żadnym materiałem dokumentalnym

i opieram się wyłącznie na własnej pamięci, która może przecież zawodzić, zwłaszcza gdy chodzi o czas wydarzeń. W każdym razie wspomnieniami nie mogłem objąć całokształtu losów adwokatury w okresie wojennym. Sądzę jednak, że nawet ten ograniczony krąg moich wspomnień może mieć pewne znaczenie przy opracowywaniu historii adwokatury polskiej w okresie II wojny światowej.

BRONISŁAW KOCH

Umowy o pomoc prawną zawierane z cudzoziemcami dewizowymi

Zlecenia udzielane przez cudzoziemców dewizowych zespołom adwokackim zawierają elementy obrotu wartościami dewizowymi. Opracowanie niniejsze omawia przepisy dewizowe zezwalające na przyjmowanie tych zleceń bez potrzeby uzyskiwania zezwoleń dewizowych indywidualnych.

W dniu 6 września 1974 r. weszło w życie zarządzenie Ministra Finansów z dnia 23 sierpnia 1974 r. w sprawie zezwolenia dla zespołów adwokackich, adwokatów i Naczelnej Rady Adwokackiej na niektóre czynności obrotu wartościami dewizowymi¹. Zastąpiło ono obowiązujące przez 10 lat zarządzenie Ministra Finansów z dnia 25 września 1954 r. pod takim samym tytułem². Nowe zarządzenie, oparte w głównych zarysach na wzorze poprzednim, upraszcza i liberalizuje przyjmowanie zastępstw i obron cudzoziemców dewizowych, a nadto przewiduje możliwość korzystania przez adwokatów z części wpływów dewizowych. Interpretacja i stosowanie przepisów zarządzenia wymaga powiązania ich treści z niektórymi innymi unormowaniami zawartymi w przepisach dewizowych.

ZASADY OGÓLNE

Zlecenie udzielone przez cudzoziemca dewizowego zespołowi adwokackiemu zawiera w sobie elementy obrotu wartościami dewizowymi w rozumieniu art. 4 u.d. Zobowiązanie się bowiem cudzoziemca dewizowego do zapłaty, a następnie sama zapłata wynagrodzenia za pomoc prawną udzieloną przez zespół adwokacki jest zobowiązaniem do przenie-

¹ MP z 1974 r. Nr 30, poz. 182.

² MP z 1954 r. Nr 101, poz. 1275; zm.: MP z 1966 r. Nr 5, poz. 39.